Lwów, 7. Stycznia. №3. Rok 1854.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna **6** Złr. — półroczna **3** Złr. — kwartalna **1** Złr. **30** kr. — miesięczna **30** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Złr. półrocznie **4** Złr.— kwartalnie **2** Złr. m. k.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza za jednorazowe umieszczenie po **3** kr., za następne po 1½ kr. i za dopłatą 10 kr. stęplowego.
Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha* przy placu dykasteryalnym pod l. 41.

DWAJ BLIŹNIĘTA.

I.

Bohatyr powieści przychodzi na świat.

(Ciąg dalszy.)

Jeżeli uważałem, że twarz pana rotmistrza godna zastanowienia, na tem większe zastanowienie zasługuje jego dziwny charakter. By go w krótkich odmalować słowach, jakim był, to jest jakim się okazywał, powiem tylko, że był najsroższym tyranem dla swych domowników. Żadnej gdyby najmniejszej nieprzebaczył winy, a każdą odpłacał, nie jakby chciał karać, ale jakby się zemścić chciał. Dla bliższych zimny, obojętny, nieugięty jak głaz wolę przez się raz wyrzeczoną, ogłaszał jako prawo niezmienne. Zamknięty w sobie, najczęściej milczący, nigdy sam się nie rozczulił, i rozczulenia przy sobie niepozwalał. Każda najmniejszą czynnością żony i siostry sam kierował, i biada im, jeżeli w czem od jego woli odstąpiły, lub nierozumiały jej zupełnie, a czasem nawet nie odgadły. Karał ich jeżeli nie wybuchem gniewu, to wyrzutami tak bezlitośnie szyderczemi i pogardliwemi, że aż strach było słuchać. A jeżeli się która rozpłakała, jeszcze mu się wydała winniejszą, bo w płacz nie wierzył, płaczem się brzydził, fałszem, zdradą nazywał. I pomału też wszystko i wszystkich tak nagiął do swojej woli do swoich widzimisiów, że wszystko szło jakby w zegarku. Ale jak w zegarku nie było duszy tylko nakazująca ręka, i jak w zegarku słychać było tylko monotonny bieg jego, i periodyczne jego ozwania się. Takie życie mógł tylko wytrzymać człowiek tak żelazny jakim był sam rotmistrz, lub kobieta tak anielskiem poświęceniem się dla drugich obdarzona, jak łowczanka. Ale za to żona schła, więdła i nikła powoli. Wachmistrzowi, który także niejedno cierpiał, pomagała gorzałka i batogi, które z rozkazu pańskiego dostawał, i któremi wyrzucał swój własny niesmak. Można łatwo pojąć co to były za dzielne batogi.

A zatem rotmistrz był człowiekiem złym z gruntu. I to nie. Prócz bowiem silnego przywiązania do żony, którego jak się poźniej dowiemy, dowiódł samem ożenieniem, miał on niektóre strony ukryte w duszy, które dotknięte przypadkiem, harmonijnie odpowiadały. Był on naprzykład nadzwyczaj przywiązany do swego dawnego kozaka, i gdy zacny Pardwa przesadziwszy miarki zachorował na pleurę, najlepsze swe konie nie tylko wysłał po lekarza, ale nim ten nadjechał, sam mu puścił krwi i nieodstąpił ani na chwilę. Nie był przy tem bez religii, zrozumianej zapewne po dawnemu; to też były dnie u niego surowych postów. Dla biednych, był hojny aż do rozrzutności; już to dodać potrzeba, że tylko dla braci szlachty — bo chłopa uważał jako coś gorszego od zwierzęcia, i jego nad nim ciągłe pastwienie wyglądało zawsze jakby się miał mścić za co nad niemi. Nie było w nim tej patryarchalności względem poddanych, którą się szlachta polska odznaczała zawsze. Rotmistrz nasz ludzi innych i żyda uważał jako intruzów, którzy przyszli by szlachtę okpiwać. Ojczysty swój kraj miłował ze szczególnem uczuciem. Wojował pod Kościuszką, a Maciejowice to były dlań pamiątką którą zwykle obchodził z dziwną prawie poetyczną uroczystością. Wszystkie ojczyste pamiątki szanował i chował jak relikwie. Wszedł nawet poźniej do legionów w towarzystwie nieodstępnego Pardwy, i byłby zapewne mimo mnogich ran nie odstąpił nigdy sztandarów ojczystych, które wezwane za Napoleonem po całym goniły świecie, ale nie chciał służyć pod Napoleonem, bo go nie miał za szlachcica, a więc nie wierzył, aby taki korsykański rabuś, jak jego nazywał mógł co kiedy dobrego dla jego kraju zrobić. A że co kiedykolwiek sobie ubrdał i postanowił, to zrobił niezawodnie, porzucił zatem ziomków nie bez żalu, i został hreczkosiejem. Dodam do uzupełnienia tego obrazu, że w świetność swego rodu wierzył jak w ewangelię, i to go jeszcze więcej utwierdzało w tej dyktatorskiej tendencyi którą wywierał w koło siebie.

Aby choć w części zrozumieć te szczególne w nim przeciwieństwa, chociaż zdaniem moim są wyjątkowe usposobienia dla których żaden najmędrszy filozof logicznej niewynajdzie przyczyny; bo są pojawy moralnych aberracyi, jak są kalectwa fizyczne: aby więc powtarzam zrozumieć choć w części to szczególne w nim przeciwieństwo, muszę opowiedzieć wam czytelnicy moi jeden epizod z jego życia, za młodu zdarzony który stanowczo wpłynął na całe jego usposobienie.

Rodzice naszego rotmistrza trzymali przez zastaw wioskę na Ukrainie należącą do dóbr wojewody kijowskiego, i zwyczajem u nas powszechnym oddali syna jedynaka, do dworu pana wojewody by się tam kształcił przy jego dworze i na ludzi wyszedł. Owoż zdarzyło się, że go wojewoda wysłał z ważnemi listami aż na Litwę. Gdy danego sobie dokonał polecenia, wracał swobodny w to-

warzystwie kozaka Fedora, który był przy nim od dzieciństwa. Jak zwyczajnie młodzi opuściwszy wierzchowcom cugle gwarzyli swobodnie dojeżdzając do miasteczka z którego zwracała się droga do majątku ojcowskiego o mil kilka odległego. Nie miał on wprawdzie myśli odwiedzenia rodziców, ale gdy się dowiedział od przejeżdzających żydów o ruchach jakichsiś chłopskich, a działo to się właśnie w epoce smutnej sławy Gonty i Żeleźniaka, smutne jakieś przeczucie ścisnęło mu serce, i popasłszy tylko konia depesze oddał Fedorowi, by wręczył wojewodzie a sam przed rankiem ruszył z kopyta. Im więcej zbliżał się do stron rodzinnych, tem więcej przemagało w nim to jakieś smutne złowrogie przeczucie. Nadaremnie sobie tłumaczył, że bezpotrzebnie się niepokoi, że wiadomości usłyszane i niepewne i bałamutne, że nareszcie na każdy przypadek sławna w okolicy, i od wszystkich wyższych i niższych czczona poczciwość jego rodziców powinnaby ich zabespieczyć od wszelkiej napaści, której by się nawet oparli właśni poddani obsypywani ciągłemi dobrodziejstwami poczciwych staruszków. Nadaremnie silił rozum swój; wewnętrzne czucie przemagało, to też gonił koniem ile mu sił starczyło, i ledwie mu dał odetchnąć, gonił dalej i dalej. Koń jego ulubieniec, dzielne dziecię stepów ukraińskich, ostatnich już dobywał sił, ale pan Hilary nie uważał na to, i konia to głaszcząc to raniąc ostrogami czwałował dalej i dalej. Aż nareszcie dzieliło go już tylko od rodzicielskiego domu wielkie dosyć wzgórze, po którego drugiej stronie w głębokim jarze stał dom rodzinny i wieś. Im się wyżej wspinał na wzgórze, tem wyraźniej zdało mu się widzieć jakby kłęby dymu z jaru wychodzące. Zadrżał pan Hilary, i kilkoma skokami szalonemi konia stanął na górze, z której widać było jak na talerzu i wieś i dwór, a mianowicie dziedziniec dworski zwrócony do rzeczonej góry. Zakrzyknął jak wściekły biedny młodzieniec na widok jaki mu się pojawił, i ścisnął konia szalenie. Koń jakby pana zrozumiał pomknął lotem wiatru. A co było najokropniejszego, widząc co się działo we dworze ojcowskim i na dziedzińcu który zdawał się stać tuż pod ręką, musiał jeszcze gonić więcej pół mili, objeżdzając w około ów jar do którego z przeciwnej zjeżdzało się strony; innej bowiem nie było drogi. Któż potrafi oddać co się działo z młodzieńcem, którego wszystkie namiętności gorączką niecierpliwości spotęgowane wrzały po piersi wściekłą burzą; i to nie przez jednę chwilę, nie chwil kilka, ale cały może długi kwadrans czasu. Pojmiemy tylko stan jego uczucia, gdy opowiem wam, że widział dom rodzinny palący się, otoczony tłumem pijanym chłopstwa i kozaków, pomiędzy którymi poznał tych właśnie wieśniaków, którym ojciec wczasie niepowodzeń gospodarskich najwięcej świadczył. I zobaczył jak ojca i matkę, biednych staruszków odartych z sukien, pobitych, pokrwawionych wyciągnęli z domu, i tłukli ich, i pluli im w oczy. I na to wszystko musiał się syn patrzyć, i nie mógł ratować. Biedny niewiedział czy modlić się, czy przeklinać. I widział jak staruszków przywiązali do dwóch pali stanowiących wrota, i owinęli im nogi i ręce słomą, i oblali smołą. A syn, syn rodzony widział to, gonił jak wicher, a przecież niemógł nic pomódz, nic poradzić. Krzyk przeraźliwy nie naturalny dobył mu się z piersi, lecz przepadł niedosłyszany w burzy i wrzawie tej tłuszczy pijanej. I widział jak jeden z oprawców zbliżał się do staruszków z rozpalonym wiechciem słomy. A syn miał jeszcze kilka minut drogi; wszelka siła, wszelka wola nadaremne; czuł że przybędzie za późno. I widział staruszków niknących w skwarnym dymie który z ich własnego pochodził ciała. I dobiegł nareszcie; sam nie wiedział czy koń pod nim upadł, czy on zeskoczył z konia; między nim a dwoma palącemi się słupami pijana tłuszcza wrzeszczała radośnie; i jeszcze radośniej zawyli na widok zbliżającej się nowej ofiary. Bez pamięci dobył szabli, by sobie drogę utorować. I nie próżnował; gdzie machnął trupy padały jak trawa pokosem. Siłę zdawał się mieć nadludzką, pijana tłuszcza zaczęła w czary wierzyć. Pałaszem machał na los szczęścia a oczami patrzył przed siebie, i zdało mu się że ujrzał oczy ojca i matki zwrócone ku sobie z uczuciem cierpienia nad miarę, i zdało mu się że widział ich ręce jak głownie rozpalone, podnoszące się w górę, jakby mu chciały pobłogosławić. Lecz daremne były jego usiłowania i byłby musiał uledz przemagającej liczbie, gdyby w tej chwili nie nadleciał Fedor a za nim kilku szlachty z sąsiedztwa. Fedor bowiem po wyjeździe pana, gdy się lepiej rozpytał i przekonał że to nie przelewki, zamiast jechać do wojewody, pogonił za panem, wpadł po drodze do jednego i drugiego dworu, i zebrawszy co mógł ludzi w sam czas przyszedł panu na ratunek. Gdy się Hilary upamiętał nieco, stał sam jeden z wiernym Fedorem. Długo milczał patrząc w koło siebie wzrokiem napoły obłąkanym.

— A teraz jedźmy precz z tąd! ozwał się wreszcie.

— Ale możeby ostatnią posługę.. zagadł Fedor.

— Komu? krzyknął przeraźliwie pan Hilary. Gdzie trupy! — To są węgle! dodał ściskając zęby. Jedźmy!

I jeszcze raz zwrócił się do tych miejsc które mu były tak drogiemi. Twarz jego była zmieniona do niepoznania; zestarzał o lat dziesięć; wyraz młodzieńczej swobody zastąpił ten wyraz zimnej i suchej obojętności, który miał już na wieki zostać przykutym do jego twarzy. Część głowy posiwiała mu; zapomniałem bowiem powiedzieć że pan rotmistrz miał spory szmat włosów inszych nad lewem uchem. To było ucho do którego najpierwej doleciał jęk rodzicielski.

— O chamy przeklęte! wyrzekł jeszcze z wyrazem piekielnej nienawiści.

— Ty Fedor zostań tu! dodał po chwili... Ja niemogę;

ja jadę w świat; ty mnie dogonisz, znajdziesz... jeżeli nie porzucisz.

— Ja pana!... nigdy! odpowiedział wierny Fedor, i póty nieodstąpił, póki niewyratował, co się z pożaru wyratować dało, i póki ostatniej nie oddał posługi... prawdziwym popiołom.

Po wielu a wielu latach, gdy rotmistrz postanowił porzucić służbę wojskową, nie chciał wracać w obmierzłe sobie strony, a że miał za Prutem starą ciotkę, przy której wyrosła, wychowała się i zestarzała jego siostra Gertruda, przybył do Kryweńki w sam czas, by starej ciotce zamknąć oczy, i objąć po niej dziedzictwo, które wnet znacznie powiększył spłaciwszy długi, i dokupiwszy parę wiosek. Rotmistrz bowiem który w czasie wojen mordował nieprzyjaciół ile mógł, nazbierał także nie zły kapitalik. Usadowiwszy się raz w Kryweńce rozpoczął życie owo, nudne, jednostajne, które miał już odtąd pędzić bez ustanku. Gospodarował, poddanych bił i katował, milczący chodził po sali, wszystkich nałamywał do swej woli; to było jego całe zajęcie.

I byłby tak umarł zapewna, gdyby nie nowe zdarzenie, które go na inną popchnęło, czynniejszą drogę. Od kilku już lat mieszkał samotny; prócz siostry i wachmistrza Pardwy, była tylko we dworze Warwara gospodynia o której stosunkach z rotmistrzem po wsi i za wsią nie mało gadano. Jeżeli ten stosunek istniał, dziwnego był zaiste rodzaju, bo widocznie nie cierpieli się najokropniej. Ludzie nawet rozpowiadali nieraz, jak Warwara okropnemi słowy przeklinała pana a rotmistrz, jakkolwiek srogi i pasyonat ustępował zwykle i wychodził na polowanie. To pewna że Warwara miała już wówczas początki owego pomięszania z którem ją poznaliśmy. Pomieszanie to przyszło pomału. Bóg wie zkąd; przyłożyła się do tego niemało zgryzota sumienia, gdy mąż jej gdy go porzuciła, rozłajdaczył się, rozpił i umarł.

W tym właśnie czasie pojawili się w okolicy Kryweńki opryszki. Niepotrzebuję zapewne czytelnikom moim tłumaczyć co są opryszki, powiem więc tylko, co rozpowiadano w okolicy, że się pierwsza banda opryszków utworzyła z samych poddanych kryweniеckich, pobitych i pokrzywdzonych przez rotmistrza. To pewna, że pierwsze napady opryszków skierowane były ku niemu, to zaborem trzód, to spaleniem niektórych budynków dworskich, porozrzucanych dawniej po wsi. Razu nawet jednego gdy wyjechał w pole i przejeżdżał wierzchem koło boru sosnowego, wypadł z lasu wystrzał, i kula trafiła go w same piersi; strzał ten przypisywano mężowi Warwary. Tym razem upiekło się rotmistrzowi, bo kula rozpłaszczyła się jeno na grubej blasze medalionu z bogarodzicą. Drugim wszakże razem omal nie uległ zupełnie zawziętości opryszków. Było to w jesieni jakoś, i właśnie przed kilką dniami przedał hurtem znaczną część zboża i wódki, jakoż znaczne wziął pieniądze od żydków samemi papierami. O tych pieniądzach prócz siostry wiedziała tylko Warwara. Ale gdzie je schował nikt w domu nie wiedział. Muszę tu dla zrozumienia rzeczy dodać, że chociaż dwór w Kryweńce był już wtenczas na tem samem skalistem wzgórzu, ale nie był tak ufortyfikowany, jakto dopiero później sam rotmistrz uskutecznił. Były zawsze rozmaite ostrożności, a mianowicie było niemało broni palnej w domu; mimo to wszystko, umieli opryszki tak zgrabnie i pokryjomu swój napad ułożyć, że za nim się kto mógł postrzedz, wszyscy w domu byli powiązani, i już opryszki stali przy łóżku samego rotmistrza. Kusa była rada, trudno się było opierać, opryszki związali pana Hilarego jak barana, i zaczęli go wypytywać o pieniądze, mianowicie o te, które wziął właśnie za zboże i wódkę. Rotmistrz jakby nic niesłyszał, wskazał im gdzie co było w drobnej monecie, i trochę srebra stołowego, które w swoim miał pokoju. Co zaś do pieniędzy gdy powtórzyli groźne zapytanie, że ich już nie ma. I daremne były wszystkie opryszków groźby, daremne rozmaite drobne z początku szturkania, daremnie nareszcie wszystkie inne męki jakie wyrządzali by go do przyznania się przymusić. Jednem słowem wszystko wytrzymał, nawet mu roztopioną smołę lali na pępek; zacinał zęby, jęku nie wypuścił i słówkiem jednym się nie zdradził. I byłby zapewne zginął w najokropniejszych mękach, gdyby nie traf szczęśliwy, że nasz zacny wachmistrz zahulawszy gdzieś w sąsiedztwie, poźno już w nocy wracał do domu. Zdziwiło go niepomału światło w oknach pańskich, a gdy się zbliżył krzyk i rozruch jaki w nim panował. Nie w ciemię bity nasz Pardwa, domyślił się co się święci, i pobiegłszy na dół zebrał parobków z gorzelni i wolarni, i z nimi wpadłszy do dworu powypędzał opryszków, poraniwszy nawet kilku.

Gdy się rotmistrz zbity, pokaleczony, poparzony okropnie został sam jeden w pokoju, zawlókł się do stolika przy łóżku, na którym stała wielka biblia in folio. Podniósł ją, i po długich leciech pierwszy może uśmiech rozjaśnił jego lica, uśmiech szyderczy. W tę bowiem biblią, którą opryszki sto razy mieli w ręku, schował on był pieniądze przekładając kartki biblijne banknotami. Napad ten opryszków, tak cichy, tak tajemny i tak niespodziany przypisywali wszyscy Warwarze, jakoż zdawało się niepodobnem, by mogli zajść do dworu bez jakiegoś ze strony domowych ułatwienia. A że pomieszanie zmysłów Warwary dochodziło już wtenczas do wysokiego stopnia, rotmistrz nie powiedziawszy ani słowa wymówki, wypędził ją z domu wraz z jej córką Eudochią, o której pochodzeniu także różne biegały wieści, chociaż miała ją jeszcze nim się zupełnie do dworu sprowadziła.

W skutek tego napadu rotmistrz wziął się do ufortyfikowania swego dworu, otoczył go silnemi częstokołami. Były w nich bramy które codzień na noc zamykano, klu-

cze sam rotmistrz brał do siebie. Lecz niedosyć na tem. Góra na której stał dwór miała dawniej naturalne połączenie z najbliższemi wzgórzami za pomocą jakiegoś odłamu skalnego, który tworzył jakby rodzaj wału naturalnego, i wał ten na równi z obu górami służył w zwykłej ze wsią komunikacyi, mianowicie pieszej. Rotmistrz sprowadził inżyniera, i z niemałym kosztem czasu i pieniędzy, póty w tej skale dłubano, póki nareszcie za pomocą prochu nie wysadzono zupełnie tego skalistego wału, i tym sposobem dwór w Kryweńce został zupełnie oddalony od reszty wsi. Jeżeli zarobił rotmistrz na bezpieczeństwie, bytność długa inżyniera w jego domu wywołała z drugiej strony skutki daleko ważniejsze.

Inżynier, prusak, zowiący się Sprutz, miał z sobą córkę. Była to ładna i spokojna dziewczyna, przyzwyczajona do wędrownej nędzy, którą inżynier woził z sobą z miejsca na miejsce, z domu do domu. Rotmistrz, który po odejściu Warwary jeszcze się gorzej nudził niż pierwej, łaził jak ćma z kąta w kąt, i wszędzie zdybywał piękną Karolinę, wyśpiewującą przy gitarze wszystkie swe niemieckie piosenki. Czy to w skutek słabości po odbytych mękach zmiękł twardy umysł rotmistrza, czy taki to już był na niego i na nią dopust boży, zakochał się w niej szczerze. Ale co dziwniejsza, że i Karolina pokochała go. Karmiona lafontenoskiemi romansami, dostrzegła biedaczka w mrukliwym rotmistrzu jakiegoś tajemniczego bohatyra romansu, do czego niemało się przyłożyło może i dziedzictwo Kryweńki z przyległościami; dosyć, że pokochała go. Długo pasował się rotmistrz z wrodzoną, dumą, ale wreszcie miłość przemogła, i pobrali się na największe obojga nieszczęście. Po pierwszych tygodniach pożycia romantyczny bohatyr znikł z oczów Karoliny, a natomiast pozostał nieznośny, nudny i żelazny tyran, który nigdy jej tego nie mógł darować, że jest córką jakiegoś obcego, który nie był nawet szlachcicem. Już to od razu mimo łez żony pozbył się teścia z domu, i zrobił z Karoliny zupełną niewolnicę, podległą wszystkim jego widzimisiom. Znosiła to Karolina z anielską słodyczą, bo to było rzeczywiście poczciwe stworzenie, bez charakteru zapewne, ale nie bez czucia. Czucie to tłumione w sobie stało się dla niej jedną męczarnią więcej. Co wycierpiała, to bóg tylko jeden mógł widzieć, i bóg jeden w przyszłem mógł wynagrodzić życiu. Jakoż całe usposobienie romantyczne biednej Karoliny zwróciło się do innego lepszego życia, do którego wzdychała bez ustanku. Dzień po dniu tracąc wszelkie nadzieje, traciła zdrowie, i usychała jak kwiatek pozbawiony powietrza i słońca, i w nie swoją przesadzony ziemię. Po kilku latach gdy się uczuła matką, to co drugim kobietom nadaje nowych sił żywotnych, życie nowemi ozłaca nadziejami, dla niej stało się nową rozpaczą. Czując i kochając już to dziecię w swojem łonie, płakała i rozpaczała nad jego przyszłym losem. (D. c. n.)

WYJĄTEK Z DRAMATU: STANISŁAW LUBOMIRSKI *).

Stanisław Lubomirski.

(piszący, kładzie pióro i zamyśla się:)

Gdy już chcę mężnie, przy dążeń mych kresie
Wieść braci w nowej przyszłości podwoje,
Czemuż się jeszcze lęka serce moje,
I w dnie minione polot westchnień niesie?...
Wszak przeszłość w wszystkiem zawiodła mię srogo:
W oazie marzeń widziałem z kolei,
Jak schły: zdrój wiary i palma nadziei;
Cóż więc jest wiecznem, gdy te kres mieć mogą?
Słońce miłości nie zeszło z nad skroni,
Lecz bez palm, zdrojów, nadziei i wiary
W mordercze strzały zmieniło swe żary.....
Kochałem ludzkość, lecz już wątpiąc o niej!
I pożerany tem wylaniem dla niej
Co mi mówiło: »ostrzeż ją, bo zginie!...»
Wnet się z obszarów wychyliła ku mnie,
Piramidalną skroń wznosząca dumnie
Budowa wiedzy, długich wieków dzieło.
»Jeszcze więc» rzekłem: »wszystko nie zginęło!
»Gdy oprócz wiary, jest zasad rozdroże,
»Gdzie potok zwątpień ujście znaleść może».
— Zaledwiem spojrzał w całą wiedzę świata,
Już astronomja mię wzniosła skrzydlata,
I niby orły, z piramidy szczytu
Wnikliśmy w słońca spojrzeniem zachwytu!
Lecz gdym rzekł: »Któż więc stworzył sfer miliony?
»A duch po śmierci, tam idzie? czy ginie?»
Mądrość gwiazd brzmiała: »To nie w mej dziedzinie —
»Bóg utajony — człowiek niezgadniony.»
Więc astronomją z wzgardą pożegnałem,
I z szczytu wiedzy zstąpiłem tą stroną
Gdzie stało nauk przyrodzonych grono;
Wśród nich, naturę zgłębiłem z zapałem:
Kruszec co warem w alembikach syczy,
Cudowny kamień, niepojęte zioła
W cyrku przyrody obiegłem do koła
Jako gladjator co szuka zdobyczy.
Biegłem przez dziką rozpaczy pustynię,
By źródło prawdy odkryć wśród otchłani.
Po tylu trudach, czekając za skutkiem,
Spytałem nauk: »Czyż mi zaręczycie
»Przez magją, wiecznie osobiste życie?»
Córki przyrody odrzekły ze smutkiem:
»Życie jest wieczne, bo wsparte na ruchu;
»Lecz gdy kształt zmienia, któż wie, czy trwa w duchu?
»Liść spadł z jesienią.... drugi błysł przy wiośnie;
»Lecz piętno życia co w pierwszym leżało,
»Czyż jest to samo, kiedy drugi rośnie?
»Tak też gdy plemię zastępuje plemię,
»Ludzkość wciąż żyje; człowiek żegna ziemię,
»Któż więc zaręczy osobistość trwałą?»
Gorzko się śmiejąc z odpowiedzi takiéj,
Z sfery kosmicznéj zbiegłem z drugiej strony,
Gdzie piramidy cień nierozmierzony

*) Jest-to sam początek, zawierający monolog księcia Stanisława Lubomirskiego, nazwanego Salomonem polskim, mędrca, który w siedmnastym wieku, zadziwiając niesłychaną nauką, i przez długie lata przeszedłszy wszystkie koleje zwątpienia i ateizmu, cudem dopiero został nawrócony. Wyjątki z tego dramatu umieszczono w Gazecie Codziennej.

Owiewał chłodem sztuk pięknych orszaki.
Wnet żar natchnienia, iskrą po iskierce
Chcąc wzniecić wiarę, rozdrażnił katusze.....
Chwyciłem lutnię — wyśpiewałem duszę:
Stopniał lód zwątpień.. lecz pierw strzaskał serce!...
I wielka próżnia w mym duchu wołała!
„Sztuko! tyś z bóstwa — ukaż mi więc Boga!..."
A sztuka milczy — na jej ustach pała
Uśmiech naiwny, obojętność błoga,
Taka jak w rysach dzieciątka powstanie,
Gdy mędrzec trudne zada mu pytanie.

O! wiem dla czego sztuka się tak śmieje:
Bo ona wszystkie przejmując ideje
Według potrzeby błaga i zaklina:
Buddę, Jehowę albo Apollina;
I w fałszu równo czcząc wszystkie ołtarze,
Sama nie wierzy w to, w co wierzyć każe.

Więc hymn mi wygasł w piersi rozranionej.....
Gniewny odbiegam, i od innej strony
Widząc drzwi ciemne, pełen trwogi idę
W głąb, w serce wiedzy, w samą piramidę.
Cofam się nagle, bo blisko podwoi,
Jakiś kształt smętny, niby mumja stoi....
To filozofja! ta co zgłębia życie!
Pierwotnie piękna — dziś cień z łez i z kości,
Bo wy ją mędrcy, wpół martwą czynicie,
Cel życia widząc w pośmiertnej nicości!....
Prócz niej, już nic mi obcego nie było;
Ją więc z ostatnią marzeń, cierpień siłą
Zakląłem: „Gdzież jest ostateczny, trwały
„Cel do którego cała wiedza zmierza?"
Wnet mi jej dłonie sarkofag wskazały;
Pojąłem: jako piramidy wieża,
Dla tego tylko była wystawiona,
Aby grobowiec uścisnąć w ramiona;
Tak czas dla tego wzniósł wiedzę człowieka,
By rzec: „żyj teraz — bo niewiesz co czeka!"
Gdym więc już zgłębił i wiarę i wiedzę,
Czegóż się lękam? — myśl, pióro, mię nużą.....

(otwiera okno:)

Ach! jakże tęskno.... duszno.... jak przed burzą....
Chłodu.... powietrza.... jeszcze grom wyprzedzę.

(wychodzi.) *Deotyma.*

Zygmunt Kaczkowski.

(Dokończenie.)

Jeszczeby się dała jedna znaleść przyczyna analogii między temi powieściami: Listopadem i Murdelionem, za pomocą której chciałaby taż recenzya talent p. Kaczkowskiego uczynić solidarnym za stronniczość p. Rzewuskiego. Jest w rzeczy samej w ujęciu głównych zarysów obu powieści pewna analogia. Jeżeli obaj Strawińscy w Listopadzie mają być reprezentantami dwóch społeczeństw stojących naprzeciw siebie za Stanisława Augusta, czyliż Murdelio, ten djabeł wenecki, i Nieczuja ten szlachcic prawdziwy ciałem i kościami, nie wpodobnym do siebie stoją stosunku? Jaki jest ten stosunek, i na czyją korzyść wypada, postarał się o to pan Rzewuski w notach swoich, byśmy zrozumieli; p. Kaczkowski nie mając celów stronniczych, nie potrzebował nam tego wyjaśniać, i dla tego widzimy tylko w Murdelionie wyjątek szczególny ale możliwy, a w Nieczui, typ rzetelny szlachcica, i to szlachcica Sanockiego. Z kolizyi tych dwóch indywiduów nie mogło nawet wyniknąć jaśniejsze na ową przeszłość światło, nad to, że szlachta była dziarska, skłonna do wybitki i wypitki, i że obok najświętszej wiary religijnej istniały najśmieszniejsze zabobony i najdziwaczniejsze nadużycia. To co oddać mogły te odmalowane typy w swojem szczegółowem, więcej nawet prowincyonalnem zestawieniu, to oddały doskonale dzięki znakomitemu talentowi p. Kaczkowskiego. A że nie oddały więcej, przyczyny szukać trzeba w tem cośmy wyżej powiedzieli o wymaganiach powieści historycznej. Rzecz jednakże dziwna, że obie te figury główne, mają pewną analogią w obu wymienionych powieściach. Jeden Strawiński typ szlachcica, ginie na rusztowaniu, w nadgrodę swych cnót szlacheckich, ale ginie *vir fortis,* z czuciem wiary w sercu a słowem wiary na uściech; drugi Strawiński typ zepsucia zagranicznego, które nam zniszczyło nasze dawne szlacheckie społeczeństwa, wypala sobie w łeb, bez myśli czucia i wiary. I w Murdelionie, Nieczui, szlachcica prawego, choć nie ginie na rusztowaniu, los jest okropny, gdy traci żonę ukochaną i dzieci, lecz nie upada całkiem na duchu, bo ma za sobą silną wiarę. Djabeł zaś wenecki nabroiwszy co tylko chciał nabroić, ginie zamiast w dymie saletrzanym, w dymie siarki piekielnej. Owoż przy końcu sumiennemu czytelnikowi, który sumiennie całości i szczegółów wdzięki podziwiał, przychodzi koniecznie na myśl to niemniej sumienne pytanie: Dla czego?.. Jest to konieczna instynktowa chętka czytających, znalezienia pewnego sensu moralnego rzeczy przeczytanej. Ten sens moralny występuje w zwykłej powieści każdej z tej cząstki indywidualnego poglądu, jaką każdy autor mniej więcej po swojem rozsypie dziele. W powieści historycznej wystąpi ten sens moralny sam przez się, jeżeli wszystkie warunki powieści historycznej wypełnione będą, to jest jeżeli w niej typy szczególne służyć będą do oddania ogólnego typu epoki opisanej, czyli raczej sens moralny szczegółowszych wydarzeń zniknie dla czytelnika w sensie moralnym całości. Jeżeli dotknęliśmy tych wszystkich szczegółów w ocenieniu talentu p. Kaczkowskiego i jego dzieła spodziewamy się, że p. Kaczkowski przyjmie to tak szczerze, jak szczerze i od serca to napisaliśmy, i nie weźmie tych słów szczerych, sumiennych za ostrą krytykę. My widzimy w panu Kaczkowskim talent, znamienity, talent silny w sobie młody i jędrny, a zatem zdolny jeszcze większego rozwinięcia się. My czujemy prawdziwe piękności jego obrazów historycznych, i właśnie dla tego, że wiele, bardzo wiele pokładamy w nim nadziei, pozwoliliśmy sobie otworzyć zdanie nasze o tem co rozumiemy pod powieścią historyczną w jej wyższem i prawdziwem znaczeniu. Bo przekonani jesteśmy, że kto

umiał tak po mistrzowsku schwytać niektóre rysy naszej przeszłej już szlachecczyzny, i oddać je z takiem zajęciem w swych obrazach, ten potrafi schwytać równie dzielnie i inne rysy całej przeszłości naszej w jej wszystkich odcieniach publicznych i prywatnych, tyle u nas mających z sobą związku, i na własnych wsparty obrazach utworzy dla nas tak pożądaną powieść historyczną. Życzymy mu na tej drodze szczęścia, z całego serca.

Teatr.

Z Warszawy. — Balet i teatra. — (Ciąg dalszy.)

Niezbyt jeszcze dawno w gronie artystek, szczycili śmy się słusznie panią Leontyną *Halpert*. Rozgłośne jej imię, umiało sobie zjednać sławę nawet za granicą. Dziś imię to przebrzmiało na scenie, długo pozostała próżnia, dopóki oko widza a ucho słuchacza nie oswoiło się z innemi wyrazami twarzy, z inną grą nowych artystek. Panna Matylda *Moroz* (dziś pani Hipolitowa Zielińska), oraz pani *Komorowska*, i pani *Kurcyusz*, najwięcej odziedziczyły ról po pani *Halpert*, o nich też najpierwej mówić tu należy.

Pani *Zielińska* bez zaprzeczenia posiada talent, który w miarę oswajania się jej ze sceną co raz bardziej z postępem czasu się rozwijał. Zwrócić tu także należy uwagę, iż to niemałe uposażenie jej od natury a mianowicie pod względem wdzięku i całej figury, znaczny wpływ wywarło na oddanie jej z pomiędzy innych artystek pierwszeństwa. Jest to bowiem w całem znaczeniu tego słowa piękna kobieta, i zarówno jaśniejąca młodością jak wdziękiem,

Dalszemi i silnemi podporami komedyi, są jak powiedzieliśmy pani *Komorowska* i *Kurcyusz*, i przyznać należy, że niektóre z ról swoich, z szczególniejszym nawet oddają talentem. Panie: *Strzelecka, Mazurowska, Korzeniowska*, panny *Ciemska, Skrodzka*, dwie pełne talentu siostry *Fruzińskie*, występujące zarówno w operach jak i komedyi, i nakoniec młoda utalentowana artystka panna *Szymanowska*, odznaczająca się również tak w operze jako i w komedyi stanowią liczbę artystek, które wraz z wymienionymi powyżej artystami płci męskiej, są przedstawicielami dramatów, komedyi, wyższych i niższych, komedyooper, i nakoniec krotochwil, tak na *Teatrze* Wielkim jak w Rozmaitości.

Dodać tu musimy iż Teatr Rozmaitości ma oddzielną orkiestrę swoją pod kierunkiem *Tarnowskiego*. Mówiąc wszksze o orkiestrach, to na pochwałę takowej a przy teatrze wielkim będącej powiemy, iż jeżeli jakąkolwiek zarzucić jej możnaby wadę, to tylko tę głównie, że jest za mała. Pod względem bowiem doboru artystów śmiało wyrzec można iż takowa składa się prawie z koncertowych solistów, a imiona *Baranowskiego i Hornzeila* skrzypków, oraz *Szabłińskiego, Karassowskiego* wiolonczelisty, lub *Zimmermana* flecisty, *Hermana* wionlisty i tylu innych, już niejednokrotnie budziły zapał słuchaczów, i neależny odniosły pokłask.

Przy teatrze są dwie szkoły, to jest śpiewu i dramatyczna; obie one wydały już nieraz bardzo korzystnych dla sztuki adeptów, jak w r. z. w połowie stycznia debiutującą w operze Dolina Andory, śpiewaczkę P. *Chodowicką*, uczennicę artysty *Matuszyńskiego*.

Z pracujących artystów dla piśmiennictwa dramatycznego, przysługują się ciągle już to oryginalnemi dziełami: niegdyś artysta, dzisiejszy dyrektor Jan *Jasiński*, Stanisław *Bogusławski* (autor samych oryginalnych sztuk), Józef *Komorowski*, Michał *Chomiński*, Matylda *Moroz* (pani Hip. Zielińska) i nakoniec należący również do składu teatrów P. Baltazar *Gwozdecki*. Dla dzieł zaś muzycznych oprócz dyrektora Ign. *Dobrzyńskiego*, i *J. Stefaniego*, pan *Matuszyński*, tłómacz kilku oper. Do rzędu znakomitych utworów muzycznych należą także prace Ignacego *Komorowskiego*, b. członka orkiestry Teatru Wielkiego, jakkolwiek takowe więcéj po za obrębem sceny są znane i wysoko w świecie muzykalnym cenione.

I tak, teatra nasze składają się z 431 indywiduów, a mianowicie: prezes 1, dyrektorów 2, artystów i artystek dramatycznych 32. Z opery 19; z baletu 133. Nauczycieli tańców 3, chórzystów i chórzystek opery 61. Dyrektorów muzyki 5; artystów orkiestry obu teatrów 66; nakoniec służby wyższej osób 15, a niższej 144.

Czemu jednak przystępując do sprawozdania o nowych w ciągu roku przedstawionych dziełach, zacząć by trzeba od komedyj tłumaczonych z francuzkiego, a nie od jakiego własnego utworu? otóż nowy powód do zatrzymania się jeszcze chwilę nadtem zapytaniem, przed przystąpieniem do rzeczy.

Kiedy ze śmiercią nadzwyczaj płodnych pisarzów oryginalnych dla sceny krajowej jak n. p. Wojciecha *Bogusławskiego* i jemu podobnych, zatrzymała się nieco w dalszym swym postępie literatura dramatyczna, a od wieków istniejąca słabość do obczyzny, zadrgała na nowo silnem tętnem życia, wnet zwrócono oczy na nową od lat tylu dyktującą nam prawa stolicę mody, i niebawem posypały się francuzkie utwory który już przekształcone, już przyswajane lub naśladowane, zarzuciły repertoar teatrów warszawskich.

Naprożno w obronie praw swojskości, wystąpił jakby z pieśnią ojców, mąż z talentem i piórem; naprożno owa lutnię nastroił na rymy, a uchwyciwszy w ramy dramatyczne najszczytniejsze obrazy i czyny serc ludzkich, malował jak pędzlem na scenie teatru, sceny życia i świata,

I zdumiała się osłupiona tłuszcza czcząca obce bogi: ale pieśń przebrzmiała, mało pojęta, mało oceniona, a na jej dobicie, publicznie wyszydzona i wzgardzona.

Łzami tu zaprawdę, a nie czarnym płynem zapisywać należy podobne wypadki boć odpowiedzialność nikogo nie minie, a ze swego sumienia i czynności swoich, trzebaż przecie będzie zdać kiedyś rachunek przed Bogiem.

Tym mężem poetą i tym malarzem serc naszych na scenie, był jak wiadomo znakomity nasz *Fredro*, a tym że tak powiemy *Arystotelesem*, który, w wydanej przez siebie Historyi Literatury krajowej, tak nieodwołalny i potępiający zupełnie pierwszego, śmiał wydać wyrok, był *Majorkiewicz;* ale że o zmarłych aut bene aut nihil jak mówi przysłowie, przeto niech wraz z swem zdaniem Requiescat in pace. (D. n.)

Rozmaitość.

Najjaśniejszy Pan dnia 2. stycznia z Monachium powrócił do Wiednia.

Pałac cesarski w Wiedniu, Belweder, gdzie się znajduje cesarska galeria obrazów został odnowiony i bardzo pięknie urządzony. Mają w nim zamieszkać Rodzice Najjaśniejszego Pana, Jego Cesarzewiczowska Mość Arcyksiążę Franciszek Karol i arcyksiężna Zofia.

Brat dziada Najjaśniejszego Pana Arcyksiążę Ludwik, ma jak piszą osiąść na stałe mieszkanie w Gracu.

Posiedzenie półroczne zimowe towarzystwa gospodarskiego gal. odbędzie się dnia 3. lutego i dni następnych. Przytem urządzona będzie wystawa zbóż, warzyw i owoców. Pytania, które przyjdą pod rozbiór są następujące:

1. Gospodarze rozmaite podają środki do wytępienia ponawiającej się w zbożu śnieci (Brandkorn). Jedni upatrując zaród tej plagi w samem ziarnie do posiewu użytem, zalecają albo chemiczne albo mechaniczne czyszczenie ziarna. Drudzy przypisują przyczynę tej choroby, częścią niepomyślnemu składowi gleby, częścią niestosownemu nawozowi pod obsiew użytemu, częścią też nienależytej

uprawie samegoż gruntu, a według tej lub owej mniemanej przyczyny podają stósowne zaradcze środki. Jakie doświadczenia czyniono w tej mierze w naszym kraju?

2. Głębszą orkę najlepsi zalecają gospodarze, a jednak wielu zawiedzionych w oczekiwaniu dobrych skutków, i owszem doznawszy uszczerbku w plonach, powróciło do płytkiej orki; zdaje się, że dobry skutek zależy od sposobu przejścia z płytkiéj do głębszéj orki. Zachodzi przeto pytanie: jak sobie w tej mierze postąpić wypada, a mianowicie tak co do samejże uprawy roli, jako też co do użycia nawozów i zastosowania płodozmianu, ażeby głębszą orkę z pomyślnym skutkiem przedsiębrać można?

3. Czyli i jaki wpływ spostrzegać się daje na chów koni roboczych ze stanowienia klaczy krajowych roboczych z ogierami skarbowemi?

4. W nowszym czasie pojawiają się w szpichlerzach częściej a niżeli to bywało wołczki (Curculio, Kornwurm) niszczące zbożowe zapasy. Zechcą gospodarze wiejscy podać swoje doświadczenia: jakim sposobem przechowywać należy zboże, ażeby go od napadu tego owadu ochronić? w razie zaś powstałej już plagi, jakim sposobem uszkodzone ziarno oczyścić i od dalszego szerzenia się owadu ocalić można?

5. Jakim sposobem, i pod jakiemi stosunkami przedsięwzięty był siew nasienia modrzewiowego w roku 1853? Jakie obiecuje powodzenie, i do jakich wniosków co do przyszłej uprawy i pielęgnowania tego drzewa doprowadziły dotychczasowe postrzeżenia?

6. W jakim razie uregulowanie, a w jakim zniesienie służebnictw leśnych byłoby pożądańsze, a to mając wzgląd na różne rodzaje służebnictw leśnych, tudzież i towarzyszących im okoliczności i z szczególnem baczeniem na najwyższą ustawę z d. 8 lipca 1853. r., tyczącą się rzeczonego przedmiotu?

Maszyny nowe. — Amerykanin Jennings nabył przypadkiem kupę żelaztwa. Rozpatrując takowe, natrafił na jakiś sprzęt dziwacznego kształtu, rozdrobiony na części, którego użytek był dla niego zagadką. Niezrażony jednak próżnemi usiłowaniami, odłożył dalsze poszukiwania do wolniejszej chwili i nie przestawał sobie łamać głowy nad zadziwiającem narzędziem, które mu ciągle leżało na oku. W tym przypomniał sobie, iż 15cie lat temu, ktoś odkrył w New-Yorku maszynę do szycia; z uwagą więc rozpatrzywszy swój nabytek, przekonał się, że to była owa znakomita maszyna. Otóż poprawił ją, wydoskonalił i puścił w obieg publiczny.

Duch odkryć jest żywiołem Amerykanów, dowodem tego niech posłuży wspomniona maszyna. Prawie jednocześnie maszyny takie rozeszły się w Ameryce, Anglii i Francyi. Cel ich był jednakowy, ale urządzenie inne. Zdumiewającą jest dokładność i sprężystość z jaką ta maszyna działa; w minutę igła robi do 600 ściegów; i oko nie jest wstanie śledzić za jej obrotem. Mimo to jednak szew jest nader trwały. Niezbędną jest jednak przy tem pomoc człowieka, któryby wiedział, jakie nadać położenie rzeczom oddanym jej do szycia; gdyż nie obrócona w właściwę stronę, szyć będzie w jednym kierunku, gdy tymczasem wiedziona ręką pewną, czynić może najkrzywsze linie. Jeden z mądrych krawców w Londynie uszył na maszynie w ciągu 4ech tygodni, 450 par spodni. Dość jednej parowej maszyny, aby w prowadzić w ruch 100 maszyn do szycia. Zegarmistrz Lipski Growert, zastosował takąż maszynę do szycia cienkiej bielizny. Dwóch rękawiczników w Grenoble, we Francyi wynaleźli takąż maszynę do szycia rękawiczek i zawarli z sobą umowę, mocą której, służy im wzajemnie prawo korzystania z tego odkrycia.

Maszyny te wyrabiają dziennie od 12stu do 15stu par rękawiczek z dokładnością, wydzierającą palmę pierwszeństwa najbieglejszym w swej sztuce swaczkom.

Cuda za cudami! a lepiej mówiąc nie masz cudów: Z udzielonych nam szczegółów dowiadujemy się, że maszyna ta znalazła silnego przeciwnika w osobie krawca Lange, z Pragi, który wyzwał, że tak rzec można maszynę na pojedynek. Pan Lange utrzymuje, że pomimo wszystkich jej zalet, musi ona ustąpić pierwszeństwa zręczności wprawnego krawca. Pojedynek w bardzo krótkim czasie ma nastąpić. W szranki wystąpi z jednej strony pracowita maszyna, a z drugiej krawiec-artysta. Obie strony powinny wykończyć jeden surdut, parę spodni i kamizelkę. Ich arcydzieła oddane będą pod sąd biegłych. Wygrywający odbierze 250 złr. nagrody. P. Lange zapewnia, że wyjdzie zwycięzcą.

Gdy z jednej strony trwa bój zacięty pomiędzy krawcami, a wdzierającą się w ich prawa maszyną, z drugiej i z szewcami zaczyna być krucho. W Wiedniu wprowadzono w ruch maszynę, która bez szwu przytwierdza podeszew do bótów.

Nie dość na tem, maszyna nikogo nie oszczędza i napadła nawet na cyrulików. W Ameryce, jakiś Wiliam Dzoksohn, wynalazł maszynę do golenia.

Maszyna ta wygląda nakształt staroświeckiego krzesła, z czasów średniowiecznych; golący się zasiada w takowem, i ono od ciężaru jego stopniowo zniża się; doszedłszy do wiadomego punktu, krzesło zatrzymuje się i operacya skończona. Golenie odbywa się za pomocą dwóch cylindrów, opatrzonych 4 brzytwami, pomiędzy któremi znajduje się pęzel, tak że Amerykańska maszyna jednocześnie prawie mydli i goli. Sam ciężar siadającego jest dostatecznym aby wprowadzić w ruch maszynę. Maszyna połączoną jest z niewielkim organem, który w czasie entraktów golenia, wygrywa najulubieńsze motywa oper.

Rozkoszy co nie miara! ale jeśli wśród golenia, wypadnie kichnąć?... Słowem jesteś odziany, obuty i ogolony, z towarzyszeniem muzyki i to wszystko przez maszynę. Bóg zapłać Amerykańczykom!

Prawdziwe zdarzenie. — Przed kilku dniami z rana o dziewiątej wchodzi do mnie faktor żyd i raportuje mi, iż w hotelu S. jedna pani przyhyła ze wsi, życzy sobie ze mną widzieć się. Jak się zowie? pani Wilczek. A kiedy można jej służyć? o dwunastej Nadchodzi dwunasta, ubieram się w frak czarny i ruszam prosto do wskazanego mi hotelu. Na nieszczęście zapomniałem wypytać żyda pod którym mieszka p. Wilczek numerem i na którem piętrze. Na dole pytam się stróża, gdzie mieszka pani W.? Na pierwszem piętrze pod Nrem siódmym. Walę prosto pod Ner siódmy. Otwieram drzwi, wchodzę. Zastaję jakąś panią z dwiema córkami — nieznajome mi twarze. Czy tu mieszka pani Wilczek? pytam. Panie spojrzały pytającem okiem po sobie i potem na mnie i znów po sobie, lecz nieodpowiadają. Nareszcie starsza, matka podobno odezwała się: Kogo pan szuka? „Pani Wilczek.” — „Może pan pomyliłeś się?” A zapewne pomyliłem się i skłoniłem się chcąc iść ku drzwiom. Ale pan zapewne pomyliłeś się, ozwała się ta sama pani: Proszę pana, proszę, niezawodnie pan szukasz pani Dziczek?...

Wziąłem to za przymówkę. I spojrzawszy ostro na te panie, wybiegłem na korytarz. Znałem bowiem dobrze od lat kilkunastu p. Wilczkową szanowną sąsiadkę rodzicow moich. Biegnę do stróża, aby go lepiej wybadać o mieszkanie mojej sąsiadki. Niema nigdzie stróża. Wracam na piętro i po chwili namysłu otwieram pierwsze lepsze drzwi. Czy tu mieszka pani Wilczek? Nie, tu pani Baranowska, ozwał się głos prawdziwie beczący. — Rozśmiałem się i trzasnałem drzwiami. Otwieram drzwi drugie. Czy tu pani Wilczkowa?... Jak, jak?.. Pani Wilczkowa?... Może pan chce powiedzieć pani Lisowska. Nie rzekłem już ani słowa, ale zły z powodu czynionych mi oczywiście przymówek zamknąłem drzwi i przedrzeźniając sobie w myśli a może i szepcząc pani Lisowska? pani Lisowska? otworzyłem drzwi do innego gościnnego pokoju i jakoś nieprzytomnie pytam: Pani Lisowska tutaj? Tutaj, powiada mi służący, była przed chwilą i obiedwie panie Lisowska z panią Zajączkiewiczową wyszły do miasta. Kto? Jaka Lisowska? jaka Zajączkiewiczowa? Wszak pan py-

tałeś o panią Lisowską? Ja o panią Lisowską? Tak jest panie, o panią Lisowską, odparł sługus śmiało. Ależ ja pytałem o panią Wilczkową! krzyknąłem. — Proszę nie drwić sobie z mojej pani! A bierzcie kaci i z twoją panią! Sługus począł coraz głośniej kłócić się ze mną. Zaczęli wybiegać goście, przybyli z wszystkich pokoi na korytarz. I panie Dziczki i panie Baranowskie, nareszcie nadeszły z miasta i państwo Zajączkiewiczowie z Lisowskiemi. Zrobił się hałas, wszyscy obskoczyli mnie w koło. „A to ten pan pytał się na despekt naszej mamy o Wilczków," odezwały się panny Dziczki. — A i mnie przymawiał, odezwał się głos beczący pani Baranowskiej. „Proszę państwa, ta to podobno ten sam jegomość wczoraj wpadł do mojej stancyi, a że zowię się Gęsiorowska, on przedrwiwając, pytał niby o panią Kaczorowską." — O trzeba dać znać do policyi, huknął gruby głos za mną pana Lisowskiego i wybiegł na ganek wołając: panie Szczyglewicz, panie Szczyglewicz! Dopiero spostrzegłem, że tu jakiś spisek na mnie uknuto. Wpadłem w źwierzyniec i to wcale niełaskawych stworzeń. Niedość było do mego kłopotu ssawców wszelkiego rodzaju (podług wyrażenia się professora Sucheckiego), jeszcze i ptastwo w pomoc zwoływano. W takiem niebezpiecznem położeniu zawinąłem się i czmychnąłem na dół schodami i zaledwie oparłem się na halickiem. Tu odważyłem się obejrzeć, czy kto nie goni za mną. Nie mogłem służyć szanownej sąsiadce.

W kilka dni później dopiero, chciawszy się przekonać co to za szatański przeciw mnie uknuto spisek, z jednym z przyjacioł moich poszedłem do hotelu S., odnowionego teraz bardzo porządnie i wygodnie. Na pytanie o zawiadowcę przywołano pana Szczyglewicza, poważnego i szanownego obywatela, i wcale na szczygła nie zakrawającego. Prosiłem go o pokazanie mi książki, gdzie zapisuje przybywających i dopiero tajemnica się wykryła. Dziwnem zrządzeniem przypadku zjechali się w jednym dniu i w jednym hotelu wszyscy powyżej wymienieni: i pani Wilczkowa i pani Dziczkowa, państwo Lisowscy, i państwo Zajączkiewicze, i państwo Gęsiorowscy i pani Kaczorowska. Co więcej, na drugiem piętrze mieszkał wówczas pan Jastrzębiński a na dole pani Gołębkiewiczowa. (Notabene, pozmieniałem trochę nazwiska, aby i w niewinny sposób nie ubliżyć osobom szanownym.) W.

Okręt skołatany burzą, który przy końcu września wypłynął z 522 wychodźcami z Liwerpoola do Ameryki, po dwumiesięcznem błąkaniu się po morzu, przybył niedawno do Nowego Jorku. W okropnym stanie był sam okręt równie jak i znajdujący się na nim ludzie. Do sześćdziesiąt osób umarło na cholerę, która na okręcie wybuchła. Maszty były podruzgotane a od kilku tygodni dzień i noc musiała osada pompować wodę, aby okręt nie zatonął. Od trzech tygodni niebyło już prawie żadnej żywności. Wychłe i blade jak trupy opuszczali wychodźce ten okręt, wstępując na ląd. Wielką część wynosić musiano, bo już nie stawało im sił do podniesienia się.

Największy i najszybszego biegu okręt jaki dotąd istniał, zbudowano obecnia w Bostonie w Zjednoczonych Stanach. *Sześć tysięcy beczek* będzie niósł ładunku. Ma imię: *Wielka republika.*

Wieniawskim po koncertach w Monachium zarzucano, iż nie występują z wielkiemi dziełami sławnych kompozytorow niemieckich. W Augsburgu właśnie z takowemi wystąpili kompozycyami jak n. p. z Beethowena A-mol sonatą, z kwartetami Mendelsohna i Haydena, a świat cały artystyczny tamtejszy zachwycony jest ich wykonaniem. Kto zna domagania się Niemców w tym względzie, ten pojmie ważność tej pochwały.

W licznem towarzystwie paryskiem spytano Rossyanina, czy widział **kozaków**. (Swieżo przedstawiony dramat wymierzony przeciw Rossyanom.) — „Nie, odparł niby niezrozumiawszy, w r. 1814 byłem za młody, abym mógł być w Paryżu.

Panna Leśniewska angażowana przy operze peszteńskiej jako primadonna, opuszcza z wiosną tę scenę, zrobiwszy zyskowniejszą ugodę z berlińską królewską operą.

Podsłuchana rozmowa. — „Co dziś najwięcej czytać lubią?.." — „Spisy potraw w traktyjerni." —

Rychłe opamiętanie się. — Niedawno damie będącej w teatrze dano znać, iż jej mąż bardzo niebezpiecznie zasłabł. Wybiegła natychmiast z teatru, lecz będąc już na ulicy, opamiętała się i wróciwszy do biletera zażądała kontrmarki.

Szarada.

Pierwszej i drugiej każdy dogadza,
Trzeciej i drugiej potrzeba pługa;
Wszystko najwyższa zdobiła władza,
Okryła chwałą wielka usługa.

Przyjechali dnia 4. stycznia do Lwowa:

PP. Władysław hr. Badeni wł. dóbr, z Surochowa. Kazimierz hr. Dzieduszycki wł. dóbr, z Niesłuchowa. Jałowicki Wenanty wł. dóbr, z Sambora. Garwoliński Jan wł. dóbr, ze Złoczowa. August hr. Łoś wł. dóbr, ze Złoczowa. Mierzyński Rafał wł. dóbr, z Baryłowa. Papara Henryk wł. dóbr, z Zubowmostów. Udrycki Adolf wł. dóbr, z Żółkwi. Maurycy hr. Ysenburg kr. bawarski rotmistrz, z Stanisławowa.

dnia 5. stycznia.

PP. Grabowski Jan zarządzca, z Bieniowa. Hönigsberg Leopold wł. dóbr, z Muzyłowa. Karasowski Karol wł. dóbr, z Totowczyc. Kozłowski Zygmunt wł. dóbr, z Krakowa. Krobicki Konstantyn rz. dóbr, ze Stryja. Łodyński Antoni dzw. dóbr, z Mikłaszowa. Lang Ignacy wł. dóbr, z Wolicy. Obertyński Henryk wł. dóbr, z Cielęża. Obertyński Alexander dzw. dóbr, z Leszczkowa. Romański Michał wł. dóbr, ze Złoczowa. Jan hr. Skarbek wł. dóbr, z Tarnopola. Wisłocki Karol wł. dóbr. z Hołuczkowa. Urbański Tadeusz wł. dóbr, z Myczkowiec. Zawadzki Marcin dzw. dobr, z Tarnopola. Eugeniusz hr. Cetner, z Mościsk. Złocki Wiktor rz. dóbr, z Myczkowca.

dnia 6. stycznia.

PP. Gołębiowski Edward dzw. dóbr, ze Słobódki. Gromnicki Józef wł. dóbr, z Laszkowiec. Illukiewicz Michał mand. z Tarnopola. Jaworski Felix rz. z Zarudziec. Przybylowski Wojciech adw. krajowy, ze Stanisławowa. Szczepański Władysław dzw. dóbr, z Brzeżan. Zagórski Mieczysław wł. dóbr, z Narola. Zegadłowicz Felix mand. z Kondratowa.

Wyjechali dnia 4. stycznia ze Lwowa:

PP. Drohojowski Eustach wł. dóbr, z Brzeżan. Edward hr. Dzieduszycki wł. dóbr, z Rawy. Rylski Eustachy wł. dóbr, z Dłużniowa.

dnia 5. stycznia.

PP. Bielawski Franciszek rz. dóbr, do Przemyśla. Bogusz Apolinary dzw. dóbr, do Bortnik. Borowski Ludwik wł. dóbr, do Krakowa. Jan baron Brunicki wł. dóbr, do Gorajca. Drzewiecki Józef wł. dóbr, do Rymanowa. Garwoliński Jan wł. dóbr, do Kresowic. Nowicki Józef mand., do Parchacza. Sokulski Jan mand. do Krakowca. Struczyński Jan dzw. dóbr, do Żółkwi.

Kurs lwowski.

Dnia 5. i 6. Stycznia.	gotówką				towarem.			
Dukat holenderski . . . . ,	złr.	5	kr.	24	złr.	5	kr.	28.
Dukat cesarski	»	5	»	29	»	5	»	32.
Półimperyał zł. rosyjski . . . . . . -	»	9	»	29	»	9	»	32.
Rubel srebrny rosyjski	»	1	»	50	»	1	»	51.
Talar pruski	»	1	»	42	»	1	»	44.
Polski kurant i pięciozłotówka	»	1	»	22	»	1	»	23.
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr. . .	»	90	»	10	»	90	»	25.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**